

WOJCIECH DUDZIK

Uniwersytet Warszawski

ORCID: <https://orcid.org/0000-0002-0045-1309>

Maska Ahlanda. Opowieść bez przypisów

1.

Jak to się zaczęło? Jakie było moje pierwsze spotkanie z „żywą maską”? Jak trafiłem na karnawałową scenę? To nie ja szukałem karnawału, to on znalazł mnie – trzydzieści lat temu. Kilka miesięcy wcześniej, w październiku 1994 roku, rozpocząłem pracę na Uniwersytecie w Tybindze, położonej 50 kilometrów na południe od Stuttgartu, a zamieszkałem w oddalonym o 12 kilometrów od tego akademickiego ośrodka dwudziestotysięcznym miasteczku Rottenburg. Oprócz geograficznego sąsiedztwa i położenia nad rzeką Neckar te dwa miasta dzisiejszej Wirtembergii więcej historycznie dzieliło, niż łączyło – o czym miałem się dopiero stopniowo przekonywać. Wśród różnic należy wymienić używane tu i tam dialekty, ale też kwestie polityczno-wyznaniowe. Rottenburg, przynależny do hrabstwa Hohenberg, w 1381 roku trafił drogą kupna w ręce Habsburgów i w związku z tym do 1805 roku, kiedy z tzw. Austrii Przedniej (Vorderösterreich) przeszedł pod panowanie Wirtembergii, pozostawał – i ciągle pozostaje – ważnym ośrodkiem religii katolickiej, w Tybindze zaś od 1534 roku zaprowadzono protestanckie porządki. Istniał już tam wtedy uniwersytet, założony w 1477 roku przez grafa Eberharda, za namową jego matki Mechthild von der Pfalz, wdowy po arcyksięciu Albercie VI Austriackim, która po śmierci drugiego męża rezydowała na zamku w Rottenburgu, gdzie otaczała się chętnie artystami i uczonymi, a także – co dla nas ważne – urządziła zabawy karnawałowe. W pewnym uogólnieniu można więc powiedzieć, że – kiedy te podziały miały istotne znaczenie – Rottenburg był miastem katolickim, a Tybinga protestanckim. Nie jest to bez znaczenia także dla dalszego, karnawałowego ciągu tej opowieści.

Któregoś lutowego dnia 1995 roku – a konkretnie 23 lutego, bo wtedy, jak łatwo sprawdzić, wypadał tłusty czwartek – usłyszałem pod oknem swego mieszkania dźwięk dzwonek, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Kiedy wyrząłem na ulicę, zobaczyłem na dole dziwnie ubranego człowieka, obwiązanego skrzyżowanymi na piersiach i plecach rzemiennymi paskami, do których przyczepione były kuliste mosiężne dzwonki, wydające przy każdym kroku głośny dźwięk – i to on właśnie przyciągnął moją uwagę. Człowiek w niecodziennym ubraniu miał na plecach przerzuconą jakąś maskę – tak przynajmniej mi się wydawało – i zmierzał w stronę centrum miasteczka. W ręku trzymał coś jakby balonik na patyku, potem okazało się, że to wysuszony świński pęcherz przymocowany sznurkiem do bata skręconego z wikliny i zakończonego z drugiej strony krowim ogonem. Przebieraniec pod moim oknem miał na sobie białą, płócienny kombinezon ozdobiony kolorowymi wzorami, a wspomniana maska była przymocowana do białej, owczej czy baraniej skóry (wywróconej włosiem na wierzch), wyglądającej jak nieduża pelerynka opadająca z głowy na ramiona. Tyle widziałem z wysokości pierwszego piętra, a w dodatku o zmierzchu; dopiero później mogłem się temu kostiumowi dokładnie przyjrzeć.

Po chwili pojawiło się jeszcze kilka podobnie osobliwie ubranych postaci, co wzmogło hałas przy przechodzeniu orszaku. Wszyscy udawali się na oddalony o kilkaset metrów rynek. Tak mnie to zafrapowało, że pobiegłem za nimi i po kilku minutach trafiłem na niecodzienne zgromadzenie. Cały rynek wypełniony był ludźmi oczekującymi najwyraźniej na jakieś wydarzenie. Ale ukostiumowanych, białych postaci, które tak mnie zafascynowały, wśród nich nie było. Najwyraźniej po drodze gdzieś się schowały, by – jak się przekonałem dopiero trochę później – już w założonych na twarze maskach, w rytm marszowej muzyki i w specyficznych podskokach wyłonić się z bocznej uliczki. Było ich chyba sporo ponad setkę, prawdziwy tłum osobliwych białych diabłów – bo maski, drewniane, jak się okazało przy bliższym przyjrzeniu, miały rysy diabelskie i wkrótce wykonały na rynku kilkunastominutową oryginalną taneczną choreografię – taniec diabłów.

Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z maską – i z Ahlandem, bo takie imię, jak się dowiedziałem, nosiły zamaskowane postaci w białych kostiumach czy też dwuczęściowych (składających się z krótkiej

kurtki i spodni) kombinezonach z grubego lnu, ozdobionych ręcznie wykonanymi malunkami z motywami roślinnymi, architektonicznymi i małymi lokalnymi landszafcikami. Brodate maski Ahlanda były kunsztownie wyrzeźbione z drewna lipowego i pomalowane na różne odcienie brązu oraz ciemnej czerwieni, z czoła zaś wystawały im niewielkie rogi, właściwie różki, jednoznacznie przypisujące te postaci do diabolicznych sfer. Ich historię poznałem jednak dopiero później.

Ale zanim plac przed ratuszem wypełnił się tańczącymi Ahlandami, oczy wszystkich zebranych zwróciły się na ratuszowy balkon, na którym ustawiło się kilkanaście osób. Nie były to postacie fantastyczne w stylu Ahlandów, ale historyczne, w kostiumach z zupełnie innej bajki, z epoki renesansu, bez masek na twarzach. W centrum stała kobieta w czerwonej sukni z białym kołnierzem (w biało-czerwonych barwach Habsburgów, a tym samym również Rottenburga) i w stożkowatym wysokim kapeluszu na głowie, ozdobionym tiulowym welonem. Postać ta otoczona była – jak można się było domyślić – damami dworu, dworzanami, myśliwymi i błaznami. To ona najwyraźniej była sprawczynią całego zamieszania na rynku, a tłum wyczekująco patrzył w jej stronę. Na moje dopytywanie, co tu się dzieje, czy to jakieś plenerowe widowisko teatralne, odpowiedziano mi, że zaczyna się właśnie *Fasnet*. Nie znałem wówczas tego słowa, ale ktoś mi wyjaśnił, że w tutejszym dialekcie tak nazywa się karnawał, w innych częściach Niemiec określany terminami *Fastnacht*, *Fasching* lub *Karneval*. Karnawał? A zatem nie spektakl teatralny, ale inne, pokrewne widowisko kulturowe – odgrywane w miejskiej, otwartej przestrzeni, z aktorami mającymi przypisane, znane wszystkim widzom role, zgodnie ze scenariuszem, któremu dziwili się tylko obcy – tacy jak ja. Ale na rottenburskim rynku zapewne nie było takowych wiele, a mieszkańcy znali go od dziecka.

Dama w czerwieni – ta sama, o której wspomniałem na początku – zapowiedziana jako Gräfin Mechtild, co tłumaczyło piętnastowieczne stroje balkonowego towarzystwa, miała proklamować za chwilę w mieście „karnawałową wolność” i wręczyć stojącemu obok dworskiemu błaznowi (*Hofnarr*) klucze do ratusza. Dopiero na ten widomy znak inauguracji do akcji wkroczyły Ahlandy i odtńczyły z przytupem swój taniec, nie tylko przy dźwiękach orkiestry dętej, ale i opisywanych wyżej dzwonek.

Nie były to jednak, jak się za chwilę okazało, jedyne zamaskowane postaci na rynku. Za chwilę obok Ahlandów pojawiły się inne diabły, również obwieszane dzwonkami, brązowe od stóp do głów, w kostiumach uszytych z baranich skór, w drewnianych maskach wykończonych – tym razem po bokach głowy – baraniami rogami. Do wywoływania hałasu służyły im trzymane w rękach drewniane kołatki. Brązowych diabłów było jednak nieporównanie mniej niż Ahlandów, wyglądały też groźniej niż uśmiechnięte w drewnie (a jakże!) białe postaci, nosiły zaś imię Pompele.

Na podwójnie diabelskim orszaku też się jednak nie kończyło. Kiedy rynek opuściły Ahlandy i Pompele, wkroczyły nań czarownice, czyli Hexen. W porównaniu z poprzednimi postaciami tworzyły niewielką, dziewięcio-osobową tylko grupę, z kilkoma pomocnikami. Ukrywały twarze za drewnianymi maskami z przerażającymi grymasami, wyrzeźbionymi na modłę dawnych baśniowych ilustracji. Na głowie związane miały chustki. Odziane były w kolorowe spódnice, spod których wystawały białe pantaloney albo czerwone pończochy. Do tego jeszcze słomiane łapcie i gospodarskie fartuchy bądź zapaski, a jako ich główny atrybut wystąpiła miotła na krzywym kiju. Krótko mówiąc, stereotypowy wizerunek wiemy według ilustracji do baśni braci Grimm. Nie trzeba było mieć specjalnej wiedzy na temat mowy ciała, żeby w przebraniu pokracznie tańczących wokół ogniska czarownic rozpoznać mężczyzn, tylko mężczyzn.

Tak zapamiętałem przebieg tego tłustoczwartkowego widowiska sprzed trzydziestu lat. Pamięć, nawet pamięć (przyszłego) badacza, jest jednak zawodna. Kiedy dziś sięgam do różnych źródeł – w 1995 roku nie było jeszcze serwisu YouTube i nie filmowano też wszystkiego smartfonem – okazuje się, że kolejność występów na rynku była wówczas i jest do dziś trochę inna: po proklamacji karnawału występowały kolejno Pompele, Czarownice, a na końcu Ahlandy. Ale dla mnie ta pierwsza maska, którą zobaczyłem pod domem, stała się najważniejsza (tudzież najliczniej występująca) i dlatego zdominowała cały program widowiska, które wówczas obserwowałem i które stało się dla mnie nie lada odkryciem.

Jako badacz teatru i kulturoznawca nie mogłem poprzestać jednak na tych powierzchownych obserwacjach. Żeby rozgryźć, czym w ogóle jest ten rottenburski *Fasnet* (skoro nie jest teatrem?), stałem się więc... badaczem karnawału. Dzięki temu dowiedziałem się też, gdzie właściwie przyszło mi

zamieszkać i w jaki sposób przedmiot badań znalazł sobie badacza, w dodatku badacza z Polski, pośród kulturowego i językowego żywiołu szwabskiego. Można to porównać do tego, co wiele lat później pisałem o masce jako przedmiocie performatywnym, który zmusza swego nosiciela do określonego działania. Anonimowy Ahland pod oknem zmusił mnie do podjęcia badań nad karnawalem szwabsko-alemańskim – obejmującym swym zasięgiem południowo-zachodnią część Niemiec – z Rottenburgiem jako ważnym ośrodkiem.

2.

Pierwsza wzmianka o karnawale w Rottenburgu pochodzi z 1410 roku, a więc sprzed czasów grafini Mechthild. Późniejsze źródła, np. rachunki dla muzyków, wywodzą się już z jej dworu, a w miejscowym kościele św. Maurycego na jednym z fresków do dziś można podziwiać nieco zamazany wizerunek błazna. Błazen (niem. *der Narr*) był zresztą jedną z najpopularniejszych postaci średniowiecznego karnawału nie tylko na ziemiach niemieckich i nie tylko w Rottenburgu, a z czasem zaczął oznaczać każdego uczestnika zabawy, któremu psalm 53. przypisuje słowa *Non est Deus* – zgodnie z przeświadczeniem, że tylko błazen albo głupiec może kwestionować boski porządek świata. Zawołanie „Nie ma Boga” wywraca świat na opak, a odwrócenie tegoż świata i przekraczanie dziesięciu przykazań (wszystko dozwolone!), za poduszczeniem diabła oczywiście, było istotą karnawału. Z tym hasłem na ustach, jak można by rzec, w średniowieczu ruszano w tany, a Kościół baczył tylko, by lud zdążył zakończyć wszelkie swawole, zarówno kulinarne, jak i cielesne (por. łac. *carnislevamen*), przed Popielcem. Karnawał – *Fastnacht* – to przecież „noc przed postem”, tak jak *Weihnachten* to noc przed Bożym Narodzeniem. Postać błazna w XV/XVI wieku popularyzowała ówczesna ikonografia (czego wspomniany fresk w Rottenburgu jest tylko drobnym lokalnym przykładem) i literatura, ze słynnym *Okrętem błaznów* Sebastiana Branta z 1494 roku na czele.

Błazeńsko-diabelski patronat karnawału ujawniał się przed wiekami na ulicach i placach szwabskich miasteczek także w symbolice innych noszonych masek reprezentujących figury fantastyczne, kojarzone zazwyczaj negatywnie, takie jak czarownice czy dzicy mężowie, bohaterowie lokalnych podań i legend, zwierzęta, przybysze z obcych stron, różni autsajderzy itp.

Kościół katolicki nie wzbraniał karnawału, czego wymownym dowodem jest dzisiaj celebrowanie błżeńskiej mszy świętej na inaugurację karnawału; dopiero reformacja zmieniła to tolerancyjne nastawienie. Coraz liczniejsze zakazy sprawiły, że od XVI wieku w krajach protestanckich karnawał zaczął znikać z przestrzeni miejskiej. Nie dotyczyło to katolickiego Rottenburga, ale ewangelickiej Tybingi już tak – zresztą aż po schyłek XX stulecia.

Czasy baroku i oświecenia to w krajach niemieckich stopniowy upadek karnawału, którego kulturowe inspiracje włoskie, jak choćby popularność komedii *dell'arte* z wędrownych trup teatralnych, nie zdołały wyhamować. Trzeba było dopiero – nie bez wpływu ideologii romantycznej – wstąpienia na scenę publiczną mieszczaństwa, by doprowadzić do „reformy karnawału”, nadania mu zorganizowanych form prześmiewczo wymierzonych w pruskich (wówczas) okupantów Kolonii i okolic. Stało się to – można podać dokładną datę – 10 lutego 1823 roku, kiedy przez Kolonię przeszedł pierwszy zorganizowany pochód, nazywany później pochodem szalonego poniedziałku (*Rosenmontagszug*, od *rasen* = szaleć). Taka forma świętowania, uzupełniona balami oraz występami o charakterze kabaretowym, stand-upowymi, jak byśmy dziś powiedzieli, a wówczas nazywanymi uroczystymi sesjami (*Prunksitzung*), rozpowszechniła się na krótko także na południe od Stuttgartu, aż po rejon Jeziora Bodeńskiego, w całym szwabskim *Ländle*. Nadreńskie impulsy ożywiły jednak przede wszystkim pamięć o dawnych szwabskich zapustach wywodzących się ze źródeł ludowych i odtąd karnawał rozwijał się w Niemczech dwutorowo, nosząc też różne nazwy: *Karneval* i *Fastnacht* (lokalnie *Fasnet*). W drugiej połowie XIX wieku pochody karnawałowe (*Karneval* – w kostiumach, ale bez masek) pojawiły się stopniowo w największych miastach Nadrenii, natomiast nad Neckarem, na Szwabskiej Alpie i górach Szwarcwaldu rozwinęły się zapusty (*Fastnacht*, *Fasnet*) – w zupełnie innych dekoracjach, przebraniach i maskach.

W 1844 roku niewielki pochód masek pojawił się również w Rottenburgu i z roku na rok przyciągał coraz więcej ludzi, także z sąsiedniej ewangelickiej Tybingi. W 1899 roku porzucono w końcu nadreńskie wzory i na karnawałową scenę miasta wkroczył Ahland (ze średnio-wysoko-niemieckiego *vâlant/Teufel* = diabeł), choć najpierw maska nie miała takiego imienia i aż do 1950 roku nazywano ją po prostu „maską

oryginalną” (*Originalmaske*). Za wzór rzeźbionego w drewnie wizerunku posłużyła kamienna maska diabła na jednym z miejscowych budynków z czasów renesansu.

Pozostały jeszcze kwestie organizacyjne, co zaowocowało zawiązaniem w 1925 roku stowarzyszenia czy też gildii (*Narrenzunft*), choć ja wolę bardziej osadzony w historii termin „bractwo błaznów”. Pierwszy, niezbyt liczny pochód błaznów miał miejsce w 1927 roku. Niewiele da się powiedzieć o kostiumach jego uczestników. Dwa lata później – tak przynajmniej mówią źródła – na ulicach Rottenburga można było już zobaczyć Ahlandy w maskach z dzisiejszymi rysami drewnianych twarzy. Trzeba jeszcze było sięgnąć do historycznej wyobraźni (jak mógł wyglądać karnawał na dworze Mechthild?), do lokalnej pamięci, ikonografii, pamiątek, kostiumów i tym podobnych rekwizytów, żeby rottenburski karnawał wymyślić na nowo: quasi-historyczny, neoobrzędowy, estetyzowany i zuniformizowany – wszyscy w grupie, względnie bractwie, nosząc bowiem takie same kostiumy i maski.

3.

Stopniowo, z biegiem lat, przybywało aktorów widowiska *Fasnet*, poszerzał się też scenariusz przebiegu sześciu karnawałowych dni, od tłustego czwartku do wtorku przed Popielcem. W pierwszej połowie XX wieku zmieniło się jednak jeszcze niewiele, także z oczywistych powodów politycznych i wojennych w latach trzydziestych i czterdziestych. W pierwszym pochodzie po wojnie, w 1948 roku, wzięły udział tylko dzieci. Dwa lata później – już bez ograniczeń – Ahlandy wyległy na ulice, a pochód przyciągnął ponad dziesięć tysięcy widzów. Coraz wyraźniejszy będzie się potem stawał podział na aktorów i obserwatorów. *Narrenzunft* liczył wtedy około pięciuset członków, w tym pięćdziesięciu Ahlandów (kobiet do bractwa nie przyjmowano z historycznych względów, ale dzisiaj już jednak nie jest to problemem). W 1960 roku miał prapremierę *Ahlandtanz* – ten, który po raz pierwszy przyciągnął moją uwagę w tłusty czwartek na rynku. Od 1975 w kościele św. Maurycego (tego z błaznem na fresku) zaczęto odprawiać *Narrenmesse*, błazeńskie msze święte – choć nie tak prześmiewcze, jak te średniowieczne, opisywane przez Jacquesa Heersa. Samo w sobie prowadzi to jednak odwrócenia porządku i wewnętrznej sprzeczności w nazwie „wydarzenia”. W latach siedemdziesiątych na karnawałowej scenie

Rottenburga pojawiły się czarownice (nieprzypadkowo, bo na pobliskim Heubergu aż do XVI wieku organizowały jakoby swoje legendarne sabaty), potem drugi diabeł, Pompele, opisany już przeze mnie na początku, a swoim imieniem i wyglądem nawiązujący do starej szwabskiej sagi. Za wzór, podobnie jak w przypadku Ahlanda, posłużyła kamienna maska, tym razem odsłonięta podczas robót budowlanych w mieście. „Historyczną” część wykonawców tworzą członkowie dworu grafini Mechthild, którym towarzyszą w publicznych występach błazni dworscy, ucharakteryzowani na typowych klaunów. W miejscowym dialekcie nazywa się ich *Bogges*.

Sześciodniowy okres błazeńskiej wolności ma swoją stałą dramaturgię i stały scenariusz (co skądinąd samo w sobie jest niejakiem zaprzeczeniem tejże wolności). W tłusty czwartek odbywa się proklamacja karnawału na rynku, w piątek – karnawał seniorów, w sobotę – błazeńska msza (śpiewana i tańczona, a jakże, po szwabsku), a po niej karnawał uliczny, w niedzielę – wielki pochód, zwany tu *Ommzug*, bo porusza się na planie litery O. Bierze w nim udział zwykle ponad pięćdziesiąt tysięcy osób, miejscowych i przyjezdnych, na czele zaś kroczą, a raczej podskakują Ahlandy. W poniedziałek odbywa się karnawał dziecięcy, we wtorek w południe – chrzest nowo przyjętych do bractwa błaznów, a wieczorem, tuż przed północą – spalenie kukły karnawału. Program, jak widać, napięty, a dopisać do niego jeszcze należy imprezy zamknięte i biletowane, jak również spontaniczne zabawy w miejscowych knajpach – i wygłupy przed nimi. Jednak nie wszystko poddaje się organizacji!

4.

Tak wygląda to w Rottenburgu, a jak jest gdzie indziej? Bad Dürnheim, Börstingen, Haigerloch, Hirrlingen, Hechingen, Hirschau, Kiebingen, Rottweil, Schömberg, Schramberg, Überlingen, Villingen, Weiler, Wurmelingen – to tylko kilkanaście miejsc, w których prowadziłem badania. Tamtejsze karnawały mogą służyć najwyżej za *exemplum*, wszędzie jest bowiem trochę inaczej i wszędzie jest trochę tak samo. Zmienia się treść: maski (każda lokalna figura ma swoją nazwę, trzeba by wymienić ich setki), kostiumy (zwane tu *Häs*), praktyki (na przykład pochód-spływ nurtem górskiej rzeki na samodzielnie skonstruowanych wehikułach w Schrambergu, błazeński polonez w Schömbergu), muzyka (dwojakiego rodzaju:

błażeńskie marsze skomponowane na orkiestrę dętą i przeboje przearanżowane przez zespoły dęte i perkusyjne tzw. *Guggenmusik*), nazwy bractw, imiona postaci, zawołania i okrzyki (zaczepnięte z historycznych przekazów). Zbliżona natomiast pozostaje forma: rodzaj i liczebność masek (oraz materiał, z jakiego zostały wykonane), sposób poruszania się w określonym rytmie, liczebność uczestników, rodzaj prezentacji itp. Krajobraz szwabsko-alemańskiego karnawału tworzą tysiące błaźnów we wszystkich 1111 [sic!] gminach Badenii-Wirtembergii. Zadziwiający jest postępujący z roku na rok *boom* na karnawał, do czego w niemałym stopniu przyczyniła się lokalna telewizja SWR, która od 1992 roku transmituje na żywo tzw. *Narrentreffen*, spotkania i pochody błaźnów z różnych stron Szwabii, co roku w innej miejscowości. Te transmisje, cieszące się ogromną popularnością, idącą w miliony widzów, sprawiły, że i karnawał zyskał niezwykle zainteresowanie i już dawno oczyścił się z przemądrzałego niekiedy lekceważenia *besserwisserów* (jako rozrywka dla „plebsu”), stając się istotną częścią lokalnej kultury i tożsamości. Z każdym rokiem przybywa też nowych bractw, także w miejscowościach o korzeniach protestanckich, łącznie z Tybingą, co najlepiej świadczy o „zapotrzebowaniu” na wolność, choćby i organizowaną.

W 1924 roku zarejestrowano *im Ländle* (czyli w szwabskiej krainie) 40 stowarzyszeń karnawałowych, w 1950 ich liczba wzrosła do 80, w 1976 – do 350, w 1989 – do 600, w 2001 – do 1700 (dosłownie w każdej gminie). W zasadzie można być pewnym, że w typowym szwabskim domu znajdzie się co najmniej jedna maska. Istnieją też różne formy współpracy w ramach istniejącej od 1924 roku Unii Błażeńskich Bractw (*Vereinigung Schwäbisch-Alemannischer Narrenzünfte*) i innych podobnych związków organizujących wspólnie pochody, spotkania, konferencje, targi... To już prawdziwa subkultura, której praktyki znacznie wykraczają poza „sześć tłustych dni”.

5.

Na powitanie i na pożegnanie w błażeńskim świecie karnawału szwabsko-alemańskiego obowiązuje zawołanie *Narri – Narro!* Jest to bowiem inny świat.



Fot. 1. Ahland, fot. Ralf Siegele